

Sanislaw Rodzinski Przekroj nr 24 (1991) Beksinski w Innym swiecie

W polskiej sztuce współczesnej jest kilka nazwisk brzmiących jak hasła. Nazwisko takie od razu kojarzy się z pewnymi dziełami, z pewnym wyobrażeniem o całej twórczości, nawet jeżeli znamy ją tylko fragmentarycznie. Nazwisko-hasło pozwala wreszcie wypowiedzieć kilka niewątpliwych stwierdzeń dotyczących zarówno kariery, jej stanu obecnego i naszych przewidywań, „co z tego będzie dalej”. Omawianie nazwiska nie przewiduje natomiast niespodzianek, przemian i zaskoczeń. Ma być bowiem takie raz na zawsze, bo jest hasłem.

Zdzisław Beksiński — to jeden z takich właśnie przypadków. W naszym muzeum wyobraźni widzimy jego rysunki z późnych lat pięćdziesiątych. Ostre, bolesne, przedstawiające skrępowane, zmaltretowane postacie, poddawane jakimś uderkom i torturom, z napiętą do granic wytrzymałości skórą, szkielety z czaszkami w niemym wyrazie. Obrazy tego malarza przedstawiały apokaliptyczne, spalone czy przydymione krajobrazy, pełne równie dziwnych budowli pozostałych w tych przestrzeniach po jakimś kataklizmie.

Jeżeli Beksiński malował postacie ludzkie, zachowywał w nich formę rysunków i kolor krajobrazów. Było to malarstwo grozy, spopielenia, śmierci, nieuniknionej katastrofy. Ale zawsze rysunki i obrazy tego artysty olśniewały jakością roboty malarza i rysownika. Tego mistrzostwa nie mógł zakwestionować nikt, nawet ludzie tej sztuce niechętni, nawet ci, których swym klimatem i osobliwą filozofią odpychała.

Tak właśnie widzieliśmy Beksińskiego dawniej — i taki schemat malarza mamy w szufladce pod literą „B”, z nazwiskiem-hasłem: Zdzisław Beksiński.

W krakowskiej galerii „Inny świat” możemy oglądać kilka obrazów i dużą kolekcję rysunków Beksińskiego z lat 1988—90, a więc rzeczy prawie najnowsze. Od roku 1985 artysta związany jest z paryskim marszandem Piotrem Dmochowskim, tam też znajduje się galeria-centrum poświęcona światowej promocji twórczości Beksińskiego. W związku z tym pokaz krakowski jest swego rodzaju wydarzeniem, okazją obejrzenia twórczości malarza, którego aktualnych prac zobaczyć w Polsce prawie nie sposób.

Rzecz pierwsza, która uderza od razu po wejściu do galerii, to zaskoczenie. Beksiński wymyka się naszym wyobrażeniom i przyzwyczajeniom, co pozwala obejrzeć wystawę z tym większą wnikliwością. Na obrazach szarobrazowych, z nagłymi rozświeczeniami bieli, widzimy ludzi tak jak dawniej samotnych, postać jakby przebiegającą na dziwnym spacerze z dziwnym zwierzęciem. Ale tu Beksiński nie igra już z makabrą. Przestał nas straszyć. Pozwala popatrzeć na postacie okryte niezwykłymi płaszczami, płatami tkaniny, postacie przypominające zastygłe w ruchu, przysypane pyłem rzeźby. To już nie dawne tortury, to już nie kosmiczne przestrzenie. Obrazy Beksińskiego — mając w sobie dawne napięcie, podobną tonację kolorystyczną — wyzbyte są jednak dawnego wielosłowa, teatru grozy, nadmiaru elementów, wszelkiego nadmiaru w ogóle. To gdzieś po drodze opadło, zostało porzucone, a może raczej stało się już niepotrzebne.

To samo dotyczy zresztą rysunków, na których nadal są ludzie, nadal są twarze, postacie mężczyzn i kobiet. Są i trwają, bez potrzeby wikłania się w sznury, pręty i uchwyty, którymi skrepowane były przed laty. Mówi się często, że uniwersalność sztuki polega na nagromadzeniu na obrazach lub rysunkach nieprzeliczonej liczby rekwizytów, na mnożeniu rzeczywistości, która w ten sposób ma bardziej przylegać do każdej z epok, być zrozumianą i odczuta zawsze i wszędzie. To nieprawda.

Beksiński wie, że uniwersalność polega na eliminacji i ograniczeniu, na pozbyciu się gadulstwa i delectacji. Niezależnie od tego, czy to delectacja jabłkami czy trupem. Malarz ten nie grzechoce już obrazów kośćmi i nie świszczuje wiatrem ceglanych pustyń. Pozwala nam myśleć o życiu, o śmierci, o świecie. O każdym z nas. O przemijaniu i trwaniu. Tak było, jest i będzie zawsze z wielką sztuką.

Stanisław Rodziński

(Fot. Jan Zych)